

Regina Wasilewska

napisał Stanisław Sianko, Białystok

Białystok

ul. Krajeużkięgo 23 k. 79

### © ARCHIWUM WSKRODNIĘ

Urodziłam się w Białymstoku w 1922 roku. Mój ojciec - Stanisław Miłaszewicz - pracował w białostockim więzieniu jako przedownik straży więziennej na stanowisku kierownika magazynu odzieżowo - żywnościowego. Moja matka - Józefa - prowadziła niewielki sklepik we własnym domu. Dom moich rodziców, drewniany, piętrowy i z balkonem, stał u zbiegu ulic gen. J. Bema i Szosy Południowej / obecnie Kopernika / Dziś tego domu już nie ma. W miejscu, w którym stał, jest obecnie skrzyżowanie tych dwóch wspomnianych ulic. Dom zburzono w połowie lat siedemdziesiątych w celu pozyskania nowych terenów pod budownictwo spółdzielcze.

W rodzinie było czworo dzieci: najstarszy Wacław /1919/, ja oraz dwaj młodszy bracia bliźniacy - Józef i Stanisław /1924/. Wacek ukończył białostockie Gimnazjum Zygmunta Augusta i wiosną 1939 roku zdał maturę. Myślał o dalszej nauce na podchorążówce, ale czasy stały się coraz niespokojniejsze. W sierpniu nie miał już złudzeń.

Po upadku państwa polskiego ojciec nie mógł już dłużej pracować w więzieniu. Imał się różnych, dorywczych zajęć i z rosnącym niepokojem obserwował zachodzące zmiany. "Wybory" do Zgromadzenia Ludowego a następnie włączenie do Białoruskiej SRR nie wróżyły nic dobrego. Pojawiły się pierwsze, szeptem i w zaufaniu przekazywane wiadomości o nocnych wywózkach nie wiadomo dokładnie gdzie. W domu naszym kwatrowali oficerowie sowieccy a cała sześciuosobowa rodzina gnieździła się w kuchni własnego mieszkania. Zdenerwowanie narastało. Wreszcie stało się to, co się stać musiało. 19 grudnia 1939 roku o godzinie 4.45 wszystkich obudziło głośne dobijanie się do drzwi. Weszło trzech żołnierzy i dwóch cywilów i kazali ojcu ubierać się. Ojciec zachowywał się nadzwyczaj spokojnie, starał się uspokoić lamentującą mamę

mówiąc, że to pomyłka, że wkrótce wszystko się wyjaśni, że niebawem wróci. Chyba nie wiedział, że żegna się z rodziną na zawsze. Nie wrócił nigdy.

Od chwili aresztowania, przez trzy tygodnie, chodziłam pod bramę więzienia z zawiniątkiem bielizny. Strażnicy nic nie przyjmowali ale też nie mówili, że go tu nie ma. Dopiero w styczniu 1940 roku oznajmiono, że przebywa w więzieniu w Grodnie. Tam otrzymałam wiadomość, że przewieziono go do Brześcia. Na list z prośbą o potwierdzenie pobytu z Brześcia nadeszła wiadomość: wywieziony do Mińska. O jego dalszych losach dowiedzieliśmy się dopiero po wojnie: skazany na 8 lat łagru jechał transportem kolejowym na Syberię. Zmarł w czasie podróży prawdopodobnie na czerwonkę. Pochowano go tuż przy torze gdzieś za Mińskiem. Uczestniczący w pogrzebie ksiądz /również więzień z tego transportu/ głośno wymienił nazwisko zmarłego prosząc, aby ci którzy przeżyją i wrócą - zawiadomili rodzinę. Tak też się stało. Po wojnie, załatwiając jakąś sprawę urzędową podałam swoje nazwisko. Urzędnik, do którego się zwróciłam, coś sobie długo przypominał aż wreszcie przypomniał. Pamiętał pogrzeb, nazwisko, kurtkę z futrzanym kołnierzem i wysokie buty. Wszystko się zgadzało.

Pozostała w Białymstoku rodzina żyła z dnia na dzień niepewna jutra. Z braćmi stałam w kolejkach po wszystko, dorywczo pracowałam. W sobotę, 13 kwietnia 1940 roku nad ranem ponownie rozległo się walenie do drzwi. Weszli znani już goście; tak samo brutalni, anonimowi o nieczytelnych twarzach, cyniczni w słowach. "Zbierajcie się, jedzcie do ojca, macie 25 minut." Zaczął się sądny dzień a właściwie sądna noc, bo światła nie pozwolono zapalić. W najwyższym zdenerwowaniu zawartość szuflad przesypywano do worków. Dlatego później, na Syberii okazało się, że zabrano kapelusze z piórami ale nie było ciepłych ubrań w wystarczającej ilości. Ktoś przytomny chwycił dzbanek miodu, trochę chleba i jakąś wędlinę. Na oczekującą przed do-



mem ciężarówkę bracia wrzucili rower. Na dworcu kolejowym czekał długi skład bydłych wagonów. Do każdego wagonu pakowano po 25 rodzin z bagażem. Starszy brat, Wacek, zajął miejsce przy zabitym deskami oknie. Po ulokowaniu rodziny, w zamieszaniu, wy dostał się do miasta do narzeczonej której obiecał, że napewno do niej wróci. Kiedy ponownie stanął przy pociągu, musiał długo przekonywać strażników, że w pilnowanym przez nich transporcie znajduje się jego rodzina i że on chce z nią jechać. Wieczorem pociąg ruszył. Warunki były takie, jakie znane są z opowiadań i opisów. Dzieci umierały z głodu, zimna i chorób. Grzebano je przy torach. Matki odchodziły od zmysłów; przedsnak piekła na ziemi. Gorącą wodę dostarczano do wagonów raz na dobę. Wacek oderwał deskę w otworze okiennym i w czasie postojów, chodząc po dachach, kontaktował się z ludźmi z sąsiednich wagonów.

Podróż trwała 18 dni. Dokładnie w dniu międzynarodowego święta klasy robotniczej - 1 maja - po pokonaniu 7000km pociąg zatrzymał się w Pawłodarze nad Irtyszem. Stąd kierowano przywiezionych do kołchozów i sowchozów. Nasza rodzina trafiła do odległego o 15 km Pawłodarskiego Miaso-Mołocznowo Sowchozu, w którym chyba nigdy nie widziano mleka a tym bardziej mięsa. Natychmiast po przyjeździe zaprowadzono nas do udekorowanej na czerwono świetlicy /Krasnyj Ugołok/ na akademię pierwszomajową. Mieszkanie mieliśmy szukać sobie sami. Przygarnął nas litościwie głuchoniemy rybak, Rosjanin, zesłaniec jak my, zajmujący wraz z żoną i dwojgiem dzieci jedną izbę. Wydzielił nam kawałek podłogi przy kuchni. Noce były męczarnią. Wyprostowanie nóg choćby na chwilę było marzeniem. Pamiętam, jak pewnej nocy Wacek westchnął: "Boże, jak chciałbym kiedyś w życiu móc wyprostować nogi." Wreszcie wszystkie rodziny polskie poszły z petycją do naczelstwa żądając przydzielenia lokalu. Mieliśmy szczęście; akurat zakończono budowę nowej świniańi, do której przeprowadzono świnie. W starej uloko-

wano przybyłych Polaków; w każdej przegrodzie po 5 rodzin. Był to barak z gliny, przykryty gałęziami. Na ziemi wały się resztki nawozu. Nocą, z gałęzi stanowiących dach, stadami spadały stonogi. Pluskwy, wszy i inne, przeróżne robactwo miało prawdziwy raj a wegetujący w tym upodleniu ludzie świerzb. Nocą temperatura oscylowała wokół zera.

A Wacek? No cóż, najstarszy z rodzeństwa, już pierwszego dnia postanowił uciekać. Realizację tego zamiaru przyspieszyli sami bolszewicy zarządzeniem o przymusowej rejestracji do pracy osób, które ukończyły 18 lat. Zdecydował się natychmiast. Od dawna przecież wiadomo, że cechą ludzi silnych nie jest to, że nie znają wąhań i wątpliwości lecz to, że szybciej je przewyciężają. Długo przekonywał mamę o słuszności swojej decyzji. Wreszcie uzyskał jej zgodę. Zabrał ze sobą trochę jedzenia oraz takich rzeczy, które będzie można łatwo wymienić na żywność. Postanowił uciekać razem z pracującą w pobliskiej fabryce Polką z Warszawy, panią P. Ona, kobieta około trzydziestoletnia, była zdeklarowaną komunistką i stale twierdziła, że jej aresztowanie jest niewytłumaczalną pomyłką. W swojej daltonicznej naiwności uważała, że po powrocie do Polski /na tereny okupowane przez ZSRR/ zdoła przekonać władze o swojej niewinności i bezpodstawności jej aresztowania i deportacji. Nikt z otoczenia nie był w stanie wyrwać jej z tej propagandowej fantastyki. Jej towarzystwo dawało ten trudny do przecenienia walor, że znała doskonale język rosyjski podczas gdy mój brat nie znał go prawie wcale.

W końcu maja, rankiem, Wacek pojechał rowerem do Pawłodaru, gdzie czekała pani P. Tam sprzedał rower i za część uzyskanych w ten sposób pieniędzy kupili bilety kolejowe do Moskwy. Do kasy podeszła oczywiście pani P. Po kilku dniach pełnej przygód podróży dotarli do Moskwy a następnie szczęśliwie przejechali na dworzec, z którego odchodziły pociągi do Brześcia. Tu ponownie należało kupić bilety. Stojąc w długiej kolejce nieopatrznie zamienili ze sobą



kilka słów po polsku. Wkrótce pojawiło się NKWD i zaczęła się wielogodzinna gonitwa, w czasie której uciekinierzy rozdzielili się. Brat zmylił pogoń, wydostał się na podmiejskie łąki i ukrył się w jednej z licznie tu stojących kopic siana. Pomimo nie ludzkiego zmęczenia nie mógł zasnąć. Zdawał sobie sprawę z tego, że jego sytuacja jest dramatyczna; nie miał biletu i wiedział, że go nie kupi. A do domu pozostało ponad tysiąc kilometrów. Wczesnym rankiem ostrożnie wyszedł ze swojej kryjówki i z niemałym zdziwieniem zobaczył, że o kilka kopic dalej to samo robi pani P. Był to dla niego najlaskawszy uśmiech losu. Czuł, że szczęśliwie przeszedł nad bezdenną przepaścią. Był uratowany, tak mu się przynajmniej wówczas wydawało.

O dalszej podróży pociągiem nie mogło być nawet mowy. Jechali więc różnymi "okazjami". Oddalwszy się od Moskwy na znaczną odległość podjęli podróż koleją. Byli już niedaleko obecnej granicy, kiedy w czasie rutynowej kontroli dokumentów brata zatrzymano /pani P. chyba zdołała umknąć/ do wyjaśnienia. Nie miał żadnych dokumentów a tym samym sprawa była bardzo poważna. Aby uniknąć najgorszego - oskarżenia o szpiegostwo - powiedział prawdę. Zamknięto go tymczasowo w budynku jakiegoś, stojącego samotnie w stepie - magazynu, którego pilnował wartownik. Był to młody chłopak, wyraźnie życzliwie usposobiony do nieoczekiwanego więźnia. Prowadzili ze sobą długie rozmowy, każdy w swoim języku i przy pomocy rąk. Po kilku dniach Wacek poprosił swojego dozorcę, aby go wypuścił, na słowo honoru, pobiegać po stepie. Biegał, fikał koziółki i znowu biegał. "Wiesz - wspominał po latach - zachowywałem się jak młody psiak wypuszczony z ciasnej budy na ukwieconą, wiosenną łąkę, odurzony jej zapachami." Po tygodniu przyjechała wojskowa kontrola magazynu i przy okazji zainteresowała się więźniem. Po wysłuchaniu wyjaśnień zapowiedziano przyjazd NKWD, które będzie wiedziało, co z nim zrobić. Rozmowie przysłuchiwał się wartownik,

oprowadzający kontrolerów. Gdy ci wychodzili, zostawił niedomknięte drzwi. Niedopatrzenie? Celowo? A po drugiej stronie drogi zaczynał się las...

Do Brześcia dotarł o kiju, skrajnie wyczerpany. Tu już mógł swobodnie i bez obaw mówić po polsku. Łatwiej też było o jedzenie i poruszanie się. Pod koniec czerwca znalazł się w Białymstoku. Do domu nie mógł iść, bo tam mieszkali sowieccy oficerowie. Podświadomie czuł, że jest poszukiwany. Jak się później okazało, przeczucie go nie zawiodło. W kilka dni po zatrzymaniu i ucieczce z magazynu-więzienia, NKWD w Kazachstanie przesłuchiwało na tę okoliczność mamę. Z tego też powodu nie mógł zatrzymać się u rodziców narzeczonej. Nocował u znajomych, najczęściej po kilka nocy w jednym miejscu. Miał wiele szczęścia; kilkakrotnie tuż po opuszczeniu kryjówek zjawiało się NKWD. Ukrywał się m.in. u p. Jadwigi Grabiec /ul. Traugutta/ oraz u pp. Szaciłowskich /ul. Angielska/. Ta makabryczna zabawa trwała ok. ośmiu miesięcy. Bywało i tak, że nocował w miejskich szaletach. Planował ucieczkę do Generalnego Gubernatorstwa. Kiedy wszystko było już na najlepszej drodze, stało się nieszczęście.

Przechodząc w pobliżu kościoła farnego spotkał znajomego sprzed wojny, podoficera z 10-go pułku ułanów litewskich, który grał w orkiestrze wojskowej i miał opinię sympatyka komunistów. Tamten początkowo udawał, że nie poznaje brata ale uparcie szedł jego tropem. Tak przeszli dzisiejszą ulicą Legionową na rynek /obecnie plac na tyłach DH "Central"/. Aby sprawę ostatecznie wyjaśnić, Wacek zamarkował ucieczkę. Tamten natychmiast podjął pościg. Wątpliwości nie było. Rozpoczęła się gonitwa między straganami. W sprawę wdał się patrol NKWD. Osadzono go w więzieniu. Za ucieczkę z miejsca deportacji otrzymał wyrok 5 lat więzienia. Siedział w celi na najwyższym piętrze więzienia przy Szosie Południowej i doskonale widział swój dom.

Na wolność wyszedł po wkroczeniu Niemców do Białegostoku. Pod bramą czekał na niego kolega - Piotr Mandziuk z wiadomością, że mama zmarła w Kazachstanie. "Nie wiedziałem co mam robić; z jednej strony radość



z odzyskanej wolności a z drugiej ból z powodu tej śmierci."

+ + + +

Tymczasem na Syberii rodzina borykała się z tysięcznymi trudnościami. Jadło - tylko mamałyga. Dookoła step i wściekłe wiatry. W budynkach mieszkało tylko sowchozowe naczalstwo. Kazachowie zajmowali ziemianki - wykopane jamy przykryte byle czym. Typowy obraz skolektywizowanego społeczeństwa. Nie znali języka rosyjskiego i dlatego rozmowa z nimi była prawie niemożliwa. Handlowano na migi wymieniając ubrania na żywność. Polacy kupowali mąkę, choć była bardzo gorzka, bo zboże rosło z piołunem. Wkrótce zapasy odzieży wyczerpały się i położenie rodziny stało się krytyczne. Wówczas zaczęły nadchodzić paczki; znak, że brat szczęśliwie dotarł do Białegostoku. Pracujący otrzymywał dziennie 0,5 kg gliniastego chleba /"pajok"/. Latem zbierano lebiodę i szczaw. W Pawłodarze /15KM/ można też było kupić surowe ciasto. W czasie jednej z takich wypraw mama zasłabła. Po powrocie do sowchozu nieopatrznie zanurzyła zmęczone nogi w naczyniu z zimną wodą. Nastąpił atak nerek i początek siedmiesięcznego konania. Lekarza oczywiście nie było. Szalejący "burian" wykluczał podróż do Pawłodaru. Gdy pogoda nieco się poprawiła, litościwy Kazach pożyczył furkę zaprzęzoną w dwa woły. Mamę umieszczono w szpitalu na kilka tygodni. Do świniarnika wróciła na krótko. Ponownie odwieziona do szpitala - już tam pozostała. Lekarz - miłosierny Rosjanin - pozwolił mi opiekować się mamą i spać na podłodze przy jej łóżku. Z pomocą pośpieszył też Polak, dr Tarajewicz z Choroszczy. Mama słabła z każdą chwilą. Ciągle prosiła o ziemniaki. 8-go kwietnia 1940 r wieczorem pobiegłam po nie do mieszkających w Pawłodarze Polaków, pp. Wodzyńskich. Tam, śmiertelnie zmęczona, za namową gospodarzy, zasnęłam na ok. 45 minut. Kiedy wróciłam, mama już nie żyła. Byłam sama, bez jakichkolwiek środków i pomocy. Wróciłam do sowchozu. Tu życzliwy p.inż. Nowicki

/ z Białegostoku/ pojechał ze mną do szpitala i pomógł załatwić formalności. Administracja szpitala zaproponowała dwie trumny: starannie wykonaną w kolorze czerwonym i drugą z nieheblowanych desek. Bez wahania wybrałam tę drugą. Przywieźliśmy mamę do sowchozu i pochowaliśmy na pastwisku, na wzgórzu. Później postawiliśmy krzyż.

W szpitalu, odbierając mamę z prosektorium, spostrzegłam w drzwiach skurczone, wstrząsane konwulsjami ciało w łachmanach. Był to Rosjanin, który miał nieszczęście dotrzeć do szpitala w "nie swój dzień", ponieważ chorych na czerwonkę przyjmowano w dni parzyste. Musiał czekać całą dobę. Nie doczekał. Autor tego nieludzkiego zarządzenia niechybnie wydał wojnę zdrowemu rozsądkowi z mocnym postanowieniem, że pokoju nigdy nie zawrze.

Trzeba było wracać do pracy. Pasłam owce z Cyganką, zbierałam kiziaki /nawóz/, powoziłam bykami w czasie sianokosów a zimą rozwoziłam snopki na pole w celu nawilgocenia gleby, tzw. "śniegozadzierzanie". Przez jakiś czas gotowałam zupy z młodszym bratem, Józkiem. Drugi młodszy brat - Staszek - okazał się uparty. Ponieważ trzykrotnie spóźnił się do pracy, stanął przed sądem, który wymierzył mu karę raczej symboliczną - potrącenie z pensji, której zresztą nikt z rodziny nie otrzymywał. Wykonanie normy dziennej było zadaniem ponad siły i równało się próbie napełnienia dziurawego worka. Niekiedy na progu naszej rudery znajdowaliśmy miskę zupy lub kawałek chleba. Jak się później okazało, to miejscowi a bywało, że i żony NKWD-ystów, anonimowo podkładały nam jedzenie. Anonimowo, bo bały się własnych mężów. Pomagali nam Rosjanie, Kazachowie, Cyganie i oczywiście Polacy.

Do sowchozu dotarły wieści o układzie Sikorski-Majski i organizowaniu się Wojska Polskiego. Bracia-bliźniacy mieli, niestety, po 17 lat. Ponieważ Staszek był atletycznej budowy, poszedł z Józkiem, chłopcem wyjątkowo szczupłym, do NKWD z wyjaśnieniem, że w jego dokumentach błędnie wpisano datę urodzenia i w rzeczywistości ma



Wacek, po wyjściu z więzienia /czerwiec 1941 r./pozostawał w Białymstoku. Był żołnierzem Plutonu Narodowych Szturmowców przy Komendzie XIII Okręgu NSZ /Narodowi Szturmowcy-odpowiednik akowskiego Kedywu/. oraz Szefostwa Propagandy XIII Okręgu /Wydział VI Komendy Okręgu/początkowo jako Kierownik Kolportarzu w Komendzie Miasta NSZ Białystok a następnie zastępca redaktora "Naszego Czynu" - ppor. Stanisława Kryńskiego ps. "Kmicic." Pierwszego kwietnia 1944 roku rozkazem awansowym Komendy Okręgu nr 7/44 został awansowany do stopnia plutonowego podchorążego. W lutym 1943 roku ożenił się. W lipcu 1944 r, gdy huk działań zwiastował zbliżający się od wschodu front, wolał nie czekać na NKWD i uciekł do Warszawy. Tam zastał go wybuch powstania. Walczył na Woli i Śródmieściu. Po kapitulacji wymaszerował w kolumnie jenieckiej do Pruszkowa. Już w pierwszym dniu podjął udaną próbę ucieczki. Stał w pobliżu bramy i gdy wartownik wszedł na chwilę do wartowni, szybko przeszedł przez furtkę na drugą stronę ogrodzenia i stanął po jego zewnętrznej stronie. Nie uciekał. Za chwilę, na drodze prowadzącej do obozu, ukazało się kilku oficerów niemieckich. "Co ty tu robisz?", zapytał jeden z nich. "Przyjechałem dowiedzieć się, czy w obozie nie ma mojego kuzyna z Warszawy"-odpowiedział po niemiecku. "Wynoś się natychmiast!" Ryknął Niemiec sięgając wymownie po pistolet. I Wacek wyniósł się, jak mu kazano.

Wrócił do Białegostoku, ale w domu bywał rzadko. Gdy rozpoczęły się zajęcia na Uniwersytecie Łódzkim, zapisał się na polonistykę. Przez 28 lat pracował jako polonista w Technikum Ekonomicznym w Białymstoku. W wieku 58 lat - na dwa lata przed emeryturą- niespodziewanie zachorował. Mimo wysiłków lekarzy zmarł 19 grudnia 1977r.

Józek też już nie żyje. Zmarł w Białymstoku 1 grudnia 1982 r. Z całej rodziny zostałam już sama. Jestem na emeryturze. Mieszkam w Białymstoku.

SPISANE! J. Kamińska      JANKO.

lat 19. Nie do wiary: NKWD-yści poprawili datę w jego papierach. Wkrótce ruszył z transportem, który celowo skierowano nie do Buzułuku lecz w malaryczne rejony nad Amudarią, gdzie był tylko piasek. Gdy polskie władze wojskowe dowiedziały się o tym, i dotarły do straceńców, wielu z nich już nie żyło a pozostali nadawali się do szpitala. Tyfus i czerwonka zbierały wśród nich straszliwy plon. Staszek dotarł na noszach do Kenimech w Uzbekistanie, gdzie zmarł 13-go lipca 1942 roku.

Tymczasem do sowchozu, gdzie nadal pozostawałam z Józkiem, przyjechał z Buzułuku po żonę p. Władysław Weber /z Białegostoku/. Ulitował się nad nami i pod presją żony wrócił do Buzułuku, skąd przywiózł nam imienne skierowania, na które zabrało się jeszcze "na wariata" 15 dalszych osób. Trafiliśmy do Guzary. Józka wcielono do wojska a ja trafiłam najpierw do PSK-/Pomocnicza Służba Kobiet/ a następnie do szkoły Junaczek/pierwsza nazwa Szkół Młodszych Ochotniczek/. Po ewakuacji przemierzyliśmy szlak wiodący przez Iran-Irak-Syrię-Liban i Palestynę. Józek uczestniczył w walkach o Monte Cassino, Ankonę i Bolonię a po zakończeniu działań wojennych znalazł się w Anglii. Do kraju wrócił na początku 1947r.

Mnie koniec wojny zastał w Egipcie na stanowisku szefa szkolnej kompanii. 9-go maja 1945 roku, w dniu zakończenia wojny, Polacy chodzili ze spuszczoneymi głowami. Przegrani zwycięzcy. Wśród oficerów zawodowych zdarzały się wypadki samobójstw. W atmosferze powszechnej wśród Polaków frustracji zaczęły krążyć pogłoski o konieczności powrotu do kraju. Listy z Polski przyspieszyły podjęcie decyzji. Z nadzieją na lepszą przyszłość przez Grecję, Genewę, Mediolan, Austrię i Czechosłowację dotarłam z transportem do Dziedzic. Tu orkiestra powitała nas najpierw Międzynarodówką a następnie hymnem narodowym. Spojrzeliśmy po sobie z niepokojem. 18 września 1947 roku przyjechałam do Białegostoku.